

Kronika tygodniowa.

Uff! jak gorąco! — choć może w chwili, kiedy czytelnicy czytać będą „kronikę”, pełen ten boleści okrzyk będzie już nie na miejscu. Może *Jupiter pluvius* wejdzie już w swoje prawa, a łaksawe akwilony przepędzą za góry żar z nieba spadający. Ale w chwili, kiedy rodzi się kronika, w piecu niebieskim napalono tak, jak do pieczenia bab wielkanocnych. Przy 34 stopniach w cieniu każdy i każda z nas smaży się jak na patelni, a jednak dziękuje Bogu, że Celsjusz nie wskazuje 35, 36 lub 38 jak to ma miejsce w tych krajach, którym zazwyczaj (tylko nie dziś) zazdrościmy cieplejszego klimatu.

Jedynie tym upałem, a nie czem innym tłómaczyć sobie mogą gorące starcia w Radzie miejskiej. Jak świat światem, a raczej jak samorząd gminny samorządem gminnym, nie obradowano w takiej porze i przy takim upale nad budżetem miejskim — w tem więc prawdopodobnie tkwi przyczyna, że łagodny z natury radca Daszyński wyprowadzał z cierpliwości siebie i ks. Caputę, a miodypłynny mówca radca Stan. Nowak temuż ks. Capucie przypisywał pedagogię, czyli belfrozerstwo. O ile mi wiadomo, posądzanie ks. Caputy o takie instynkty niema najmniejszych podstaw, a tylko przeczułona drażliwość prezesa nauczycieli krakowskich wietrzy wszędzie wrogów stanu nauczycielskiego, do czego temuż p. prezesowi dopomaga wrodzona niedokrewność zmysłu orientacyjnego.

Tylko tym brakiem orientacji tłómaczyć sobie należy ową redukcję świąt, która wywołała tyle hałasu. Kronikarzowi *Nowości illustrowanych* przypada ta chwala, że w krajach zostających pod wyborczą opieką J. E. Bobrzyńskiego, on pierwszy (kronikarz, nie J. E. Bobrzyński) poruszył tę sprawę i poczynił mocne zastrzeżenia co do jej praktyczności. Nie będę powtarzał czytelnikom moich argumentów za utrzymaniem niektórych świąt, a zwłaszcza przeciw ujednolnieniu Bożego Narodzenia i Wielkanocy, bo powtarzanie dobre jest w szkole, ale nie w kronice — poprzestanę tylko na zaznaczeniu, że opinię moją podzieliły najskrajniejsze obozy. Najsilniej zaprotestowali socjaliści, oświadczając się za nietykalnością świąt katolickich. Okazali, że są *plus catholiques que le pape*; stwierdzili też prawdę maxymy, że pozory mylą. Posądzano ich o niechęć do Kościoła, a oni jak jeden mąż stanęli w obronie katolickich tradycji. Oni chcą między innymi czcić św. Stanisława w dniu 8. maja w Krakowie, a św. Michała w dniu 29. września na Podgórzu. A cześć ich dla św. Stanisława tembardziej podkreślić należy, ponieważ o świętość tego patrona toczą się od kilkudziesięciu lat znaczne spory, które w ostatnim dziesięcioleciu stworzyły całą bibliotekę i wywołały namiętną dyskusję.

Żart żartem — socyalistom nie idzie oczywiście o święta katolickie, ale o dni odpoczynku po pracy, których liczba zmniejszałaby się znacznie w razie ścisłego zastosowania się do tekstu papieskiego *Motu proprio*. Oni chętnie zrezygnowaliby n. p. ze św. Stanisława, gdyby ogół obchodził uroczystości dzień 31. lipca, ale nie jako dzień św. Ignacego Loyoli — lecz jako dzień imienia Ignacego apostoła (nawiasem mówiąc nie mogę zrozumieć, dlaczego poseł Daszyński wybrał sobie takie jezuićkie imię). Zgodziliby się również zapewne na zniesienie świąt Piotra i Pawła, a wprowadzenie natomiast do kalendarza święta Marksa i Lassala. Jako patrona Lwowa chętnie widzieliby św. Diamanda. Zamiast dwu dni Zielonych Świątek z przyjemnością obchodziliby dwa pierwsze maja. Jednym słowem, nie brak im chęci zastąpienia świąt katolickich świętami socjalistycznymi, ale jako ludzie praktyczni tolerują „przesady”, których usunąć nie mogą, a których brak nie byłby im na rękę.

Z innego naturalnie stanowiska zapatruje się na tę sprawę ks. biskup Bandurski. Wprawdzie uznaje on, że motywy, które skłoniły stolicę apostolską do „próby” redukcji świąt „są jasne i bardzo racjonalne”, bo przewodzi im myśl zastosowania się do zmienionych warunków rozwoju społecznego, ale wątpi, aby ta sprawa u nas gładko poszła. Może przeprowadzenie postanowienia papieskiego nie spotka się z trudnościami w Anglii, Hiszpanii, Niemczech (co do Niemiec silnie zaznaczył wątpliwość organ centrum *Bayrischer Courier*), ale „w Galicyi będzie inaczej” (uodajmy: i wogóle na ziemiach polskich). Biskup Bandurski ma „wrażenie” n. p., że choćby św. Stanisława przeniesiono na niedzielę, część ludności w dniu 8. maja wstrzyma się od pracy. Może z czasem sprawa ta uregulowałaby się, ale początkowo biskupi liczyliby się musieli „z pe-

wnemi tradycjami ludu i z jego przywiązaniem do pamiątek”. Czcigodny dostojnik Kościoła jest pewny, że „wielka część ludu z niechęcią słuchać będzie, kiedy jej się powie o zniesieniu, względnie przesunięciu niektórych świąt. Zmałe uświadomienie nie kulturalne będzie tego przyczyną. Lud nie zawsze chce zrozumieć, że postanowienia i przepisy to nie dogmaty”. Podobnie jak dyspenzy w dni postu, pomimo ich ogłoszenia, nie wywołały ogólnego ich przez lud wiejski stosowania, tak i te postanowienia o świątach nie pociągną początkowo za sobą ogółu... „Wprost za złe branoby księdzu, gdyby z ambony ogłosił zniesienie tego, co przez wieki w życie wsiąkło, a na et to życie regulowało”. W zasadzie ks. biskup uznaje, że zniesienie świąt przyniosłoby dobre wyniki, bo doświadczenie mówi, iż czas przeznaczony na odpoczynek ciała i podniesienie umysłu i duszy nie zawsze był spędzany właściwie, że dawał sposobność do licznych zdróżności — ale bądź co bądź z całości słów czcigodnego księcia Kościoła wynika, że „próba” redukcji świąt jest u nas zbyt ryzykowna.

Tak czy owak, z tych czy z innych powodów, zgadzają się ze sobą socjaliści, ks. biskup Bandurski i kronikarz *Nowości*. Ten ostatni do swoich argumentów dodaje jeszcze parę punktów. Punkt pierwszy: handel i przemysł katolicki, dla którego dobra liczba świąt ma być zmniejszona, zasługują rzeczywiście na opiekę, ale na jednego handlującego lub przemysłowca katolika, jest na świecie co najmniej 50 robotników katolików, a u nas bodaj czy nie więcej jak setka (za robotnika uważam zarówno parobka, jak profesora uniwersytetu) — więc proporcjonalnie biorąc, sto razy więcej ich dobro na sercu leżeć powinno. Punkt drugi: reformy tego rodzaju dają się przeprowadzać tylko stopniowo, powoli. Gdyby n. p. ogłoszono, że Niepokalane poczęcie N. M. P. z dnia 8. grudnia przenosi się na najbliższą niedzielę i również „uniedziela się” dzień św. Piotra i Pawła, to taka redukcja aniby zdziwiła, aniby wywoła opozycję. Po kilkunastu latach dałoby się również parę świąt przenieść na niedzielę, i w ten sposób bez żadnych wstrząśnięć tryumfowałby zarazem handel i przemysł katolicki nad... robotnikami. Punkt trzeci: ogłoszenie, że w drugie święto Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Zestania Ducha św. nie jest obowiązującym wysłuchanie mszy św. będzie miało co najmniej ten skutek, że w owe dni ludzie nie pójda do kościoła, ale pójda do szynku — a inni ani tu, ani tam nie pójda, ale świętować będą i do pracy nie staną.

Są zresztą rozmaite prace: pożyteczne, szkodliwe i... nijakie. Tej ostatniej oddawał się zmarły przed tygodniem ks. Schleyer, wynalazca volapüku. Przeczył on swój wynalazek, o którym nowe pokolenie ani słyszało. Ale przed czterdziestu laty wielbiciele wszelkich „nowostek”, zachwycali się pomysłem zmarłego, który pod nazwą volapüku chciał zaprowadzić język międzynarodowy, wspólny dla wszystkich ludów, jako środek porozumiewania się. Sztuczny pomysł, sztuczny język, naturalny był tylko jego upadek. Bo każdy język sztuczny dopóty chwilowo żyć będzie, dopóki ktoś nie wytworzy języka sztuczniejszego. Zginął volapük, bo dr. Zamenhof wydał na świat esperanto o formach lepszych od volapüku. Obecnie esperanto ma już wroga w języku *ido* — który z nich zwycięży, niewiadomo, ale już po latach kilku lub kilkunastu znajdzie się nowy twórca sztucznego języka i będzie także miał zwolenników. Ale zawsze najwięcej ten zyska, kto się nauczy jednego z żyjących, a najwięcej upowszechnionych języków, jak np. francuskiego, niemieckiego, angielskiego. Z jednym z nich cały świat przejeździ, nie potrzebując poszukiwać dopiero esperantysty. Co więcej, każdy z nich otwiera ci podwoje wielkiej literatury, a w najodleglejszym końcu świata dostarczą ci dzienników, z których czerpiesz wszelkiego rodzaju potrzebne ci lub zaspakajające twą ciekawość wiadomości. Zabawka esperancka tego ci dać nie może.

Jako argument za esperantem ma przemawiać łatwość jego nauczania się. Zapewne, ale kto sobie zadaje trud wyuczenia się w ciągu roku esperanta (prędzej nim dobrze nie opanujesz), niech popracuje jeszcze kilka miesięcy więcej dla przyswojenia sobie jednego z przytoczonych języków, a pożytek sto razy większy odniesie. Bo kto by z nas, licząc na pieniądze, nie wolał np. gdyby to było dla niego możliwe, pracować dwa lata dla zdobycia 100 000 koron, niż rok jeden dla ujrzenia w swej kieszeni już nie tysiąca, ale choćby nawet 10 tysięcy sztuk tej szlachetnej jednostki monetarnej. Zresztą i owa łatwość nauczania się esperanta istnieje w rzeczywistości jedynie dla ludów romańskich, lub dla tych, co znają język łaciński, francuski, włoski, z których dr. Zamenhof utworzył swój język sztuczny. Dla

Niemca, Anglika, Słowianina, nie władającego żadnym romańskim językiem, lub nieznającego łaciny, każdy wyraz esperancki jest wyrazem nowym. Jestto zatem ściśle biorąc sztuczny język romański. A jeden z największych filologów romańskich, Remy de Gourmont, nazwał go wprost „nonsensem, jakim jest każdy język sztuczny”. Jeden zaś z wielkich pisarzy francuskich (zdaje mi się Prevost) oświadczył, że ten język obraża jego uczucia, ponieważ widzi w nim podrzwanie, karykaturę francuskiego języka.

Ponieważ esperanto uznano za środek porozumiewania się między ludami romańskimi, nie więc dziwnego, iż amatorzy sztucznych języków zabrali się do roboty nad wytworzeniem esperanta słowiańskiego. Niedawno Czech, prof. Hosek, ogłosił gramatykę takiego języka wspólnego dla Słowian austriackich, a świeżo z nowym projektem wystąpił w Brukseli znany sławista dr. Henri Bourgeois w broszurze swojej: *La question du neo slave*. Ów nowosłowiański język opiera się głównie na zmodyfikowanym języku cerkiewnym, z użyciem abecadła łacińskiego. Za przykładem esperanta p. Bourgeois daje stałe końcówki rzeczownikom i przymiotnikom, na oznaczenie przypadków używa przyimków, stopniuje przez dodanie „bolje” i „najbolje” (więcej i najwięcej), koniugację skraca do minimum. „Idź w świat — woła — dziecię me, płodź długiej pracy, aczkolwiek poczęty w chwili entuzjazmu... Widzę przed tobą wielką karierę. Patrz na niezmierzone obszary od Łaby do Wołgi, od Oceanu lodowatego do Morza egejskiego. Patrz na te narody niezliczone, co to za siła, co to za potęga nieczynna! Twoją rzeczą będzie wetchnąć w nie duszę”. Szczęśliwi zaiste ci Słowianie — nauczają się tylko esperanta nowosłowiańskiego, a powstaną z niemocy, z nieczynu. Tak mało im potrzeba! Ciekawa przytem to rzecz zaiste, że Francuz chce nas, Słowian, uszczęśliwić nowym językiem, tak jak dr. Zamenhof, uszczęśliwił już ludy romańskie swym esperantem. A będzie o nim mówił na kongresie ras w Londynie, w sekcji, w której miał przewodniczyć rabin londyński dr. Adler — ale nie doczekał tej chwili i przed dwoma tygodniami przeniósł się do wieczności, gdzie zapewne esperanta nie używają.

Znamieniem jest, że do esperanta największy pociąg mają żydzi, nie dlatego zapewne, że żyd go wynalazł, ale dlatego, że od wieków używają już pewnego esperanta, bo mieszaniny języka niemieckiego z językami ludności miejscowej, o czem szerzej dwa tygodnie temu wspominałem w mojej kronice (nr. 29 *Nowości*). Odbieram też pewnego rodzaju wrażenie, że głównym celem esperanta jest usunięcie żargonu i połączenie językowe żydów za pomocą sztucznego, ulepszanego fabrykatu.

Na zakończenie kroniki mógłbym zaśpiewać: „O cześć wam panowie, magnaci”, jeżeli to prawda, co pisze *Goniec warszawski*. Podaje on trzy fakty z działalności społecznej naszych magnatów. Pierwszy, potwierdzony zresztą już przez inne pisma, to sprzedaż w obce ręce Berżan na Litwie przez hrabiego Stanisława Czapskiego, który, kiedy o zamiarze tej sprzedaży przed pół rokiem głośzono, oburzał się i groził procesem „kalumniatorom”. Fakt drugi: książę M. Radziwiłł, młodzieńcy adiutant Kuropatkina na wojnie japońskiej, ożeniony z leciwą lecz bogatą wdową po hr. L. Krasieńskim, usunął Polaków z administracji i dźwierzaw w swych dobrach Kuchce w pow. ihumeńskim. Fakt trzeci tyczy się również Radziwiłła, ale innego, Stanisława. Pan ten, syn ks. Antoniego, przyjaciela Wilhelma I, objawszy ordynację Dawidgródką w pow. pińskim i liczne dobra t. zw. alodyalne, usunął rządców Polaków i sprowadził na ich miejsce... Prusaków. Od pewnego czasu w tym odłamie radziwiłłowszczyzny panuje wszechwładnie język niemiecki... Więc czy niesłusznie byłoby zawołać: O cześć wam panowie, magnaci!

DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY
B. WIERZEJSKI, KRAKÓW, RYNEK
róg ul. Floryańskiej.
Telefon Nr. 0368.

KAPELUSZE słonkowe PANAMA
ZARZUTKI, OKRYCIA I PŁASZCZE GUMOWE
Ostatnie nowości angielskie i francuskie.
Wielki wybór **KOSZUL** turystycznych,
tennisowych i sportowych. (1)

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1. parter.